ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 14-go Października 1897. Nr. 41.

„Światło" wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu na G. Śląsku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WALERYA.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

ks. Antoniego de Waala.

(Ciąg dalszy.)

Czoło Konstantyna zmarszczyło się ponuro przy czytaniu listów, o których prawdziwości wątpić nie było można. Człowiek, który mu w imieniu bogów zapowiadał i przyrzekał świetne zwycięztwo, potajemnie podawał wrogowi rękę, aby mu toż zwycięztwo wydrzeć!

Zdrada była oczywistą, a Gordyanus winien był najsroższej śmierci. Ale jakież wrażenie musiałoby to wywrzeć na wszystkich zwolennikach starych bogów tak w mieście jako i w wojsku, gdyby nowy cesarz zaraz na wstępie do swoich rządów kazał stracić pierwszego kapłana słońca w Rzymie?

Dla tego też zdradzenie tych podłych listów było Konstantynowi wcale nie na rękę, jak sądził Herakliusz.

— Jest to mała usługa — dodał tenże — którą wyświadczam twej boskości; ale spodziewam się, że zdołam ci jeszcze lepiej udowodnić moje przywiązanie. Nikt chyba lepiej nie zna usposobienia poszczególnych rycerzy i senatorów, a twoja boskość zadziwi się, gdy się dowiesz, ilu z nich jest do ciebie wrogo usposobionych.

Konstantyn zrozumiał, do czego dworak zmierza, lecz ukrył swoję niechęć.

— Rządy w takiem mieście jak Rzym — mówił dalej Herakliusz — są po prostu niemożliwe, jeśli nie ma się pod ręką całej gromady pewnych szpiegów. Cała ta siatka pajęcza wychodzi i uchodzi do tajnej kancelaryi cesarskiej. W ten sposób każde wyrażenie, choćby ono padło w łonie rodziny lub w ścisłem kole przyjaciół, dochodzi zawsze i z pewnością do twych boskich uszu.

Oburzyło to cesarza do żywego, że Herakliusz poważył się doradzać mu do posługiwania się podłymi szpiegami i donosami, przez co mnóstwo szlachetnych mężów i niewiast dostało się na wygnanie lub zgoła poniosło utratę majątku i życia. Przypomniało się Konstantynowi, co mu mówił Kandydus o Herakliuszu, gdy opowiadał mu o smutnych kolejach, które przechodził Rufinus i jego córka. Jakże trafnie osądził Kandydus tego człowieka!

— Ponieważ jesteś tak dokładnie o wszystkiem powiadomiony — rzekł Konstantyn i utkwił w niego swój orli, bystry wzrok — to może będziesz mi mógł szczegółowo opisać koleje byłego prefekta miasta, a mojego przyjaciela młodości Rufina, którego Maksencyusz złożył z urzędu?

Herakliusz zbladł, lecz wkrótce znowu ochłonął i rzekł:

— Jako ofiara okrutnego tyrana umarł on z nędzy w więzieniu skazanych do robót publicznych; córka po-

grzebała go przy drodze apijskiej. Jeszcze chyba nigdy — dodał bezczelnie Herakliusz — nie użyto tak podłych środków, aby zgubić najszlachetniejszego męża w świecie.

Konstantyn już nie zdołał pohamować swego oburzenia, słysząc ostatnie słowa podstępnego Greka.

— Maksencyusz co prawda miał prawny pozór do ścigania Rufina — zauważył Konstantyn — ponieważ mu podłożono kilka listów sfałszowanych pisanych nibyto przezemnie i moich dowódców do Rufina. Nawet w aktach codziennych jest o tem wzmianka. Czy możesz mi powiedzieć, kto kazał podrabiać te listy? Czy możesz mi powiedzieć — powtórzył Konstantyn a z oczu sypały się iskry na służalca — kim był ów podły Grek, co wtrącił prefekta Rzymu do więzienia mamertyńskiego, jakiej ceny żądano od córki za uwolnienie ojca, kto go skazał między więźniów skazanych do robót publicznych, a córkę jego wyrzucił na ulicę, jak żebraczkę?... I ty śmiesz jeszcze stanąć przedemną i ofiarować mi wstrętne i nikczemne twe usługi? Nie, Rufinus nie umarł jeszcze; Chrystus, któregoś ty, nikczemniku, wyparł się i któregoś prześladował, ocalił go przed twemi zasadzkami.

Herakliusz upadł cesarzowi do nóg a pełzając po ziemi jak wąż błagał go o łaskę i przebaczenie, ponieważ działał tylko jako wierny sługa Maksencyusza. Ale na dany przez Konstantyna znak zjawił się setnik, który odbywał straż w przedpokoju.

— Odwieść mi tego nikczemnika — rozkazał Konstantyn — do więzienia mamertyńskiego. Tam niech go zamkną w najciemniejszym i najgłębszym lochu. Spodziewam się, że w całym Rzymie nikt w tym stopniu nie zasługuje na śmierć, jak ten podły Grek.

Na skinienie setnika przybyli żołnierze i wywlekli Herakliusza z pałacu cesarskiego.

Tymczasem w przedpokojach i w podwórzu zebrała się znaczna liczba dostojników, którzy przybyli tu, aby cesarzowi złożyć pozdrowienie poranne; wszyscy poznali Herakliusza i już wiedzieli, jaki czeka go los, ale nikt nie uczuł politowania, każdy odwracał się z wzgardą od tego widowiska.

Właśnie gdy żołnierze prowadzili więźnia ze wspaniałych schodów pałacu, wchodził po schodach do pałacu Kandydus, lecz on go nie znał. Ale za to Herakliusz poznał od razu Waleryę, a na ten widok blada twarz jego posiniała. Z przerażeniem patrzał on na dziewicę, kolana mu drżały i gdyby go jeden z żołnierzy nie był rubasznie popchnął naprzód, więzień byłby upadł z omdlenia.

I cóż go tak zmięszało na widok Waleryi?

Herakliusz widział ją zawsze w czarnej żałobnej sukni, stroskaną i zbolałą; tak klęczała przed nim, gdy błagała go o życie dla swego ojca, tak całowała jego rękę, obiecując zostać małżonką jego syna, aby tylko uzyskać uwolnienie Rufina, w takim stanie i ubiorze odprawiał ją Herakliusz z forum szorstkiemi słowy, gdy chciała czasem ojcu swemu zanieść coś na wzmocnienie lub ochłodę. Ponieważ zwyczaje dworskie nie pozwalały na to, aby ktoś w żałobnych szatach przychodził na posłuchanie, więc dziewica wzięła dzisiaj na się szatę świąteczną zamiast swojej zwykłej czarnej. Miała więc na sobie tak zwaną dalmatykę, jasną szatę barwy safianowej, z której od obu ramion spadywały aż do stóp 2 czerwone purpurowe, złotem naszywane wstęgi; był to przywilej pań i dziewic ze znakomitych rodów. Głowa okryta była białą zasłoną, włosy kędzierzawe kładły się na szlachetnem czole. Na szyi zaś miała prosty sznurek kosztownych pereł. Na ramionach zaś i na krajach szaty przypięte były rozety złotem i perłami naszywane. W oczekiwaniu tak ważnego posłuchania zwykła bladość jej oblicza ustąpiła dzisiaj ujmującemu rumieńcowi a rysy jej uśmiechały się pełnią szczęścia, które jej zgotował dzień wczorajszy. Dzisiaj więc dziewica czyniła wrażenie istoty jakiejś nieziemskiej, anielskiej, tak była

urodziwą i piękną. Wśród tłumów, które na podworcu przed schodami stojąc, pilnie się wszystkim wstępującym na schody przypatrywały, odzywały się szepty i pytania, kim jest ta cudna i wspaniała dziewica; chrześcianie zaś widząc ją między biskupem Milcyadesem a dorodnym wojownikiem, pozdrawiali ją jako uosobienie Kościoła wychodzącego zwycięzko z wszystkich prześladowań; cóż więc dziwnego, że Herakliusz ogłuszony potępiającym wyrokiem Konstantyna, bliski pomięszania zmysłów z śmiertelnej trwogi, spostrzegłszy ją tak nagle, upatrywał w niej jakąś postać nadprzyrodzoną?

Ale jeśli widok Waleryi napawał Herakliusza bojaźnią, zato Kandydus był zachwycony tą zmianą, jaka zaszła w zewnętrznej postaci dziewicy, gdy przyszedł dzisiaj rano do mieszkania swej matki, aby obie niewiasty poprowadzić do cesarza. Porównywał on ją w duszy z drogim kamieniem, który mistrzowska ręka złotnika z starej, zardzewiałej oprawy wyjąwszy, wprawia w czyste złoto; z ciemnem źródłem bijącem ze skały, nad którem słońce nagle rozlewa strugi świetlne; z różą, która wraz z porankiem z pączka się wybija.

On sam też już nie był, jak wczoraj zakurzonym, strudzonym z nadzwyczajnega natężenia, wzruszonym wielkimi i niezwykłymi wypadkami ważnego dnia, ale jaśniał czerstwą młodością, w wspaniałym mundurze, zaiste, wojownicza ale i urodziwa postać. Walerya ledwo się ośmieliła utkwić w nim swój wzrok.

Irena zaś miała na sobie szatę długą, sięgającą aż do stóp, jak ją nosiły sędziwe panie z znakomitych domów. Po nad tą szatą była obszerna zasłona »palla«, która okrywając głowę w bogatych fałdach okrywała całą postać.

Przy składaniu cesarzowi pozdrowienia porannego trzymano się zwyczajów dworskich zaprowadzonych już za pierwszych cesarzy a pomnożonych za Dyoklecyana. W ciężkiej, białej todze, dawniejszym ubiorze urzędowym, czekano w przedpokojach pałacu, aż przyjdzie czas posłuchania. Słudzy dworscy zaś wpuszczali czekających według stopnia i urzędu przed oblicze władcy.

Konstantyn odrazu zyskał serca Rzymian przez to, że odwiedziny przyjmował stojąc, nie w postawie siedzącej, zniósł także zaprowadzone przez Dyoklecyana całowanie ręki; ujmująca zaś grzeczność, jaką wszystkim okazywał, odbijała bardzo dodatnio od rubasznej bezwzględności Maksencyusza, jako też od zimnej, wspaniałej a niedostępnej wzgardy, którą okazywał dumny Dyoklecyan.

Rufinus ledwo miał tyle czasu, aby odpowiedzieć wszystkim senatorom i rycerstwu na serdeczne ich pozdrowienia; bez poprzedniego zgłoszenia wprowadzono go zaraz do sali przyjęcia.

Konstantyn ujrzawszy Irenę u boku Kandyda, podszedł kilka kroków ku matronie i złożył jej uprzejme życzenia, że jest matką takiego syna, u którego nie wiedzieć co więcej podziwiać, czy dzielność czy wspaniałodusznosć.

— Dziki szczęk oręża — mówił cesarz — przygłusza niestety dość często głos boski w nas, i zbyt łatwo serce nasze powleka się także żelaznym pancerzem wojennym; niepohamowany Mars czyni syny swoje także niepohamowanymi i niejeden bohater na polu bitwy składa tchórzliwie broń w duszy przed nieprzyjacielem. Lecz syn twój nie tak czynił. Wojna oddaje ci go tak czystym i nieskalanym jak był przedtem, tylko na duchu i ciele zahartowanym, a bogatym w zasługi i chwałę. Twej radości macierzyńskiej nie mąci żaden cień, żadna plama.

Gdy zaś papież do swego podziękowania dodał, że Kościół rzymski a z nim wszyscy bracia błagają Najwyższego w gorących modłach, aby na cesarską jego głowę zlał jak najobfitsze swe błogosławieństwo, Konstantyn odrzekł papieżowi:

— Za ziemskie dary płacisz monetą niebiańską, a przyjmuję ją tem chętniej, że tylko na boskiej łasce i pomocy buduję trwałość mego panowania i sławę mych rządów.

Następnie przywitał Konstantyn Rufina serdecznie jako dawnego towarzysza broni; z żywem współczuciem wspomniał na cierpienia, które z iście chrześciańską mocą ducha przebył on i córka jego, a zarazem prosił go, aby przyjął z rąk jego znowu urząd prefekta miasta.

Piękna postać Waleryi wprawiła cesarza zaraz na wstępie w zdumienie. Nie uszła też jego uwagi jaśniejąca radość, jaka malowała się na twarzy dziewicy, podczas gdy Konstantyn tak wymownemi słowy wychwalał zasługi Kandyda. Cesarz zwrócił się więc zaraz do młodzieńca i rzekł, wskazując na trofeje zwycięztwa z labarum u szczytu:

— Po ukończeniu wyprawy wojennej odbieram z rąk twoich, mój dzielny trybunie, chorągiew polną, którą ci powierzyłem. Nosiłeś ją z taką chwałą, że chcę ci powierzyć jeszcze coś kosztowniejszego; a sądzę że tem prędzej przyjmiesz tę ofiarę, ponieważ to nie jest moją własnością. Wprawdzie nie pytałem się jeszcze właściciela tego skarbu, o jego zezwolenie, ale uczynię to w tej chwili:

— Rufinie, oto ja proszę cię o rękę córki twojej Waleryi dla mego trybuna Kandyda.

Te tak niespodziewane słowa cesarza zrobiły na wszystkich a szczególniej na obydwóch interesowanych nieopisane wrażenie. Kandydus upadł cesarzowi do nóg, czuł się bowiem zbyt szczęśliwym. Walerya zaś musiała oprzeć się na piersi stojącej obok Ireny.

— Cesarzu mój — odparł Rufinus — wypełniasz to, co sam w tajemnicy mego serca w nadziejach sobie ułożyłem i z radością oddaję najszlachetniejszemu z twoich wojowników najdroższy klejnot, jakim mnie Niebo obdarzyło.

— Moje lube dziecię — rzekła Irena obejmując czule Waleryę — a więc w twojej osobie ofiaruje mi Bóg córkę!

Konstantyn tymczasem podniósł Kandyda i poprowadził go do Waleryi. Rufinus złożył rękę dziewicy w rękę Kandyda.

— Cóż mogłoby godniej zastąpić ołtarz — rzekł sędziwy biskup i wskazał na labarum — jak ten znak Najświętszego Imienia? Jako kapłan boży błogosławię zatem w imię Chrystusa temu świętemu związkowi, który dzisiaj z sobą zawieracie i błagam dla was z Nieba wiele łask i szczęścia. Bądźcie szczęśliwymi w posiadaniu skarbu, który ty Kandydzie sobie wywalczyłeś w boju, a ty, Waleryo, wywalczyłaś przez cierpienia! Niechaj wasz związek będzie wyobrażeniem jedności zgody, która odtąd łączyć będzie państwo z Kościołem Chrystusowym, skoro nam Niebo zesłało cesarza, który upatruje dobro państwa nie w prześladowaniu lecz w opiekowaniu się Kościołem i który ojcowską iście ręką stara się zagoić rany, jakie mu zadały pożałowania godne zaślepienie i wcale niesprawiedliwa nienawiść.

Jeszcze tego samego poranku wziął papież pałac lateraneński w posiadanie i wyznaczył tamtejszą bazylikę domową, czyli salę wielką spoczywającą na dwóch szeregach kolumn na katedrę rzymskiego biskupa. Dotychczas stanowił katedrę papieży rzymskich Kościół świętej Pudencyany, córki senatora Pudensa (Wstydliwego), w którego domu święty Piotr zwykł był zgromadzać pierwszych wiernych; odtąd bazylika lateraneńska miała zostać »matką i głową wszystkich kościołów stolicy i świata całego.«

Edykt zwracający chrześcianom ich święte miejsca i przybytki powitali wierni z nadzwyczajnym zapałem i błogosławili głośno łaskawego pana, a kapłani tytularni objęli znów swoje stanowiska. Oczywiście w wielu miejscach napotkali wielkie zniszczenia a nawet zbezczeszczenie. Stary, czcigodny kościół świętego Klemensa zamieniony został w świątynię Mitrasa, a kościół w domu Lucyny zgoła na menażeryę; inne zaś kościoły służyły za magazyny, a z dawnych ozdób wewnętrznych pozostały tylko nędzne szczątki i gruzy. Lecz z bezprzykładną ofiarnością pełną zapału i unie-

sienia, rozdawali chrześcianie wszystko co mieli, aby święte przybytki podnieść i ozdobić, a każdy dzień, w którym gdzie w kościele znowu rozpoczęto odbywać święte obrzędy, był dla wszystkich dniem świętej radości. Jeszcze w sto lat potem w wierszach pisanych przez poetę Prudencyusza rozbrzmiewa zapał i uniesienie, które napełniały chrześcian w owych błogich czasach. Radość tę zwiększała ta okoliczność, że wielu pogan nawróciło się i porzuciło błędy pogańskie, które nie zbawiły Maksencyusza i prosili papieża, aby ich przyjął do Kościoła. Do pierwszych należeli trybun Artemiusz i senator Anicyusz Paulinus wraz z dziećmi swemi.

W dzień po zaręczynach Kandyda z Waleryą postępował jakiś orszak złożony z uczestników widocznie szczęśliwych bramą apijską; młoda para odbywa ta pielgrzymkę razem z rodzicami do grobów Sofronii i rodzeństwa Kandyda, aby na nich złożyć kwiaty i wieńce.

Ale nie byli oni jedynymi pielgrzymami, co zbliżali się do katakumb. Już wczas rano szli wierni w większych lub mniejszych grupach, wszyscy świątecznie ubrani, drogą apijską. Tego bowiem dnia, 30-go Października obchodził Kościół uroczystość papieża i męczennika Poncyana, a nawet podczas najsroższych prześladowań nie zaniedbano nigdy obchodzić jego pamiątki przez uczestniczenie w świętych tajemnicach, w grobie papiezkim w katakumbach św. Kaliksta; tak i dzisiaj radość Kościoła tryumfującego miała odbijać się o groby męczenników. Grabarze w nocy jeszcze zabrali się do odkopania zasypanego otworu jako też do uprzątnienia schodów prowadzących do grobowca; droga zaś od drogi apijskiej aż do wchodu posypana była kwiatami i świeżą zielenią, drzwi zdobne w girlandy z liści i kobierce, a kaplica także jaśniała świątecznie girlandami jako też mnóstwem lamp.

Lekka nawałnica, która przeszła rano, uprzątnęła w deszczu kurz z ulic i odświeżyła całą przyrodę. Przez skłębione masy chmur przedzierały się tu i owdzie promienie słońca, zdobiąc ich krawędzie ognistemi obwódkami, a chociaż włoskie niebo czaruje zwykle przeczystym lazurem, jednak zachwyca także jasnemi chmurami.

Walerya i Rufinus długo modlili się u grobu matki i żony, a zaś Irena i Kandydus modlili się gorąco u grobu obydwóch dziewic, które przez męczeństwo odniosły nad światem wielkie zwycięztwo.

W ubiegłych tygodniach przebiegała Walerya tak często ulicę apijską z sercem pełnem zgryzoty, bólu i troski, gdy pogrzebała matkę, gdy gotowała grób dla ojca i nareszcie gdy po raz ostatni miała żegnać się z Ireną. Rufinus przystąpił dzisiaj do miejsca wiecznego spoczynku swej małżonki jako chrześcianin; za przyczyną modlitw małżonki i córki doszedł po licznych doświadczeniach na drogę prawdy. Tą to drogą wleczono Irenę do cyrku, aby tam poniosła śmierć bez pożegnania się z swym najdroższym synem, mimo że tenże tak blisko się znajdował. Z jakąż trwogą w duszy gnał Kandydus obok pomników Apii, z jakże gorącem uczuciem wołał do Niebios, aby nie spóźnił się, lecz przybył w sam czas!

Uczestnicy tego orszaku myśleli o tych swoich przygodach, a w oczach Ireny i Waleryi jaśniały czasem łzy radości, łzy wielkie jak perły; potem znów błogi uśmiech przemykał po ich rysach, jak słońce rozprasza deszcze. Jeszcze nigdy nie uśmiechała się tak do nich zieleń drzew i barwy kwiatów; wile na pochyłości wzgórz albańskich zdawały się pozdrawiać ich jako wesołe dzieci; w czystem a orzeźwiającem powietrzu ciepłego dnia jesiennego brzęczały pszczoły, chrząszcze i komary, a w dodatku o dziwo! gdy oglądnęli się wstecz w stronę miasta, ujrzeli przepyszną tęczę, która majestatycznie sklepiła się nad ich szczęściem i pokojem, dodając mu tysiącznych barw. (Dokończenie nastąpi.)

NA WIDOK KRAKOWA

przez **Kornela Ujejskiego.**

Nasz Kraków, to jak namiot wodza śród obozu,
To jak ołtarz ofiarny w ojczyzny świątyni,
Skąd płyną do nas hasła, rozkazy i siły,
Gdzie każdy swoje śluby narodowe czyni.
Gościńce, co doń idą, ciągłe wznoszą pyły,
Napełnione pielgrzymów jednorodną rzeszą,
A zda się, że ruch mają, że wraz z ludźmi spieszą;
Pobożną uroczystość ludzi niosą w oku,
A konie z własnej woli podwajają kroku.
Są chwile, w których pierś się człowiecza rozrasta
I odtąd więcej wciąga uczuć i powietrza,
A dusza w niej zamknięta lotniejsza i wietsza,
A taką chwilę daje — widok tego miasta.
Och! wyleciałem naprzód miłością skrzydlaty
I na krakowskiem niebie wieszczych szukam znaków,
Czyli gdzie nie wybłyska łuna z aureoli
Tych zmarłych, co swą chwałą zadziwili światy...
A w tem ostatnia góra schyla się powoli,
Dwa kroki — i stoma wieżami wstał Kraków!

O nasza Jeruzalem! forteco duchowa!
Trzydniowa święta trumno żywiącego słowa!
Piękności twoje ziemskie w pył się rozsypały,
Zamilkły po krużgankach cytry i cymbały,
Na ołtarzach jaszczurki tanecznice skaczą,
Otwartych bram niewiasty pilnują i płaczą,
Wyschły twoje strumienie miodowe i mleczne...
A jednak wstań! tyś wielka! w tobie trwa, co wieczne,
To co nad miody słodsze i nad mleko bielsze,
Powstań! raduj się! odsłoń oblicze weselsze!
Niech sztandar twej radości po wszech wieżach wieje
Bo masz skarb, do którego nie trafią złodzieje,
Bastyony twoje ludzkiej urągają mocy,
A straże odprawują na każdym — prorocy.
O trumno! ciebie strzegą napróżno żołdacy,
Próżno po twoim wierzchu pełzają robacy,
Próżno cię pajęczyna i pleśń trupia szpeci,
Już twojego zamknięcia kończy się dzień trzeci!
Anioł-budziciel szumi skrzydłem niedaleko,
Spłynie, dotknie cię stopą — i pęknie twe wieko.

CHOROBY ZAKAŹNE.

Wszystkie zakaźne choroby, tak u ludzi, jak i zwierząt, pochodzą ztąd, że do ustroju ich dostają się właściwe każdej chorobie bakterye, czyli drobne grzybki, które wytwarzają trujące substancye; często też wskutek mnożenia się tych bakteryi, są uszkodzone mechanicznie różne tkanki ciała, a przez to jest naruszona właściwa ich czynność. Szkodliwemi są one również i dla tego. że od krwi odbierają tlen, który służy do odżywiania wszystkich tkanek ciała. To ostatnie działanie jest szczególnie widocznem w karbunkule, w którym, mnożąc się we wszystkich tkankach, prócz szkody mechanicznej, bakterye zabierają tlen i powodują w ten sposób śmierć z uduszenia.

Nie rzadko zdarza się, że jedne bakterye zaczynają sprawę chorobową, drugie zaś ją kończą.

Bakterye tyfusowe, naprzykład, dostawszy się do ustroju, wywołują właściwą formę chorobową, wskutek zatrucia tkanki.

»Walka organizmu chorego z bakteryami, pochłaniając pewien zapas energii tkanek, czyni ją mniej odporną na inne sprawy« powiada profesor Bujwid »dla tego to w przebiegu tyfusu występują czasami ropnie, lub zapalenie płuc, zależne od innych drobnoustrojów, które nie mogą działać szkodliwie na tkanki zdrowe i silne, działają jednak na tkanki usposobione do choroby lub osłabione.«

Właściwe zarazki wielu chorób zakaźnych już zostały odkryte i zbadane do pewnego stopnia ich właściwości i działanie, są jednak choroby, których zarazki są dotychczas nieznane, pomimo zastosowania różnych metod badania, prawdopodobnie dla tego, że albo zarazki te są zbyt małe, albo nie posiadają zdolności barwienia się, tymczasem bez tej zdolności spostrzeganie i badanie pewnych bakteryi staje się niemożliwem.

Do chorób, w których zarazek nie jest jeszcze poznanym, należą: ospa, płonica czyli szkarlatyna i wodowstręt.

Z pewnością jednak powiedzieć można, że choroby te pochodzą od drobnoustrojów, a nie od bezustrojowego jadu, bo są one zaraźliwe przez zetknięcie się zdrowych ludzi z chorymi, — okoliczność zaś ta dowodzi, że zarazek rozmnaża się, a więc jest żywym.

Twierdzenie to staje się pewnikiem wobec faktu, że nawet ciepłota 55 stopni C. jest już zabójczą dla bakteryi, wtedy, gdy jady chemiczne nie zmieniają się przy działaniu tak niewysokiej ciepłoty.

Mnożenie się bakteryi w ustroju, do którego najpierw się dostały, jest nader szybkie, ale ta energia życiowa prędko słabnąć zaczyna, prawdopodobnie wskutek wyczerpania materyi odżywczych, potrzebnych dla ich rozwoju.

Zarazki dostają się do ustroju przez powierzchnię skóry, albo przez narząd oddechania, lub nareszcie przez przewód pokarmowy.

Nieuszkodzona skóra, przy zwykłych warunkach, zwykle chroni organizm od przenikania bakteryi do wnętrza ciała; miejsca jednak, pozbawione naskórka, zdrapane, lub mające zadzierki, są wystawione na ich działanie. Skaleczenie nieczystem narzędziem i zakażeniem jadem trupim podczas sekcyi, właśnie w takich warunkach mają miejsce. Róża na twarzy może się udzielić przy najlżejszem zacięciu w czasie golenia pod wpływem zimna lub strachu. Zdarzały się jednak przypadki, że bakterye dostawały się do ustroju przez otwory gruczołków łojowych i potowych, wywołując wrzody i pryszcze.

Zakażenie się gruźlicą, błonicą czyli dyfteryą i kokluszem, następuje zwykle drogą oddechową, ale gruźlicy można dostać także zraniwszy palec bakteryami gruźliczemi zakażonym kawałkiem szklanki, której używał suchotnik do picia. Najczęściej jednak zakażenie gruźlicą następuje wskutek dostania się do wierzchołka płuc, w kurzu znajdującej się, wysuszonej plwociny suchotnika. W tym ostatnim razie na miejscu zakażenia rozwija się mały guziczek, który stopniowo rośnie, rozwija się i pęka, czyli rozpada się, a bakterye po naczyniach limfatycznych dostają się do gruczołów sąsiednich, lub posuwają się dalej.

Jeżeli ten zarazek długo zostaje na miejscu, to niszczy tylko płuca i chory umiera na suchoty. Jeżeli zaś bakterye drogą krwi przechodzą do innych narządów, to mogą wywołać gruźlicę mózgu i opon jego, gruźlicę wątroby, kości, skóry itd., przyczem na wszystkich tych miejscach z łatwością odkryć można małe, jak proso, guzełki, w których znajdują się bakterye gruźlicze.

W klasztorach katolickich w Prusiech, w których członkowie zajmują się od lat wielu pielęgnowaniem chorych na gruźlicę, średnia długość życia posługi wynosi 36 lat, a przecież do obsługi dopuszczeni są ludzie co najmniej 18 letni, najczęściej zaś między 22 a 30 lat.

Drogą przewodu pokarmowego zakażenie przychodzi najczęściej przy tyfusie, cholerze i ospie, a prawdopodobnie w szkarlatynie i odrze.

Wszystkie choroby zakaźne pozostają z początku miejscowemi przez czas dłuższy lub krótszy, następnie stają się ogólnemi, to jest atakują cały ustrój. Do chorób ogólnych zaliczone są różne formy posocznicy, n. p. gorączka połogowa i przyranna.

Istnieją zarazki, zakażające organizm w sposób odmienny od powyżej wymienionych, które mogą opanować ustrój lub jego narządy bez szczególnego wyboru. Ale zarazek wścieklizny dostaje się do ustroju wyłącznie tylko drogą nerwów i ogarnia tylko środki nerwowe, to jest mózg i rdzeń kręgowy. W żadnych innych tkankach i sokach, z wyjątkiem tylko gruczołów ślinowych, zarazek ten wykazanym nie został. Szczególne to powinowactwo zarazka wścieklizny do tkanki nerwowej, pochodzi, być może, ztąd, że rzeczony zarazek w niej tylko znajduje potrzebne dla siebie warunki rozwoju, lub też dla tego, że nerwy przedstawiają mniejszą odporność, aniżeli gdzieindziej. Na tem też opiera

się leczenie Pasteura, który znalazł środek zmniejszenia wrażliwości tkanki nerwowej za pomocą przypuszczenia całego ustroju do działania tego zarazka.

Są choroby zakaźne, które bardzo słabo działają na organizm, wywołując tylko gorączkę i ogólne osłabienie. Tu należą gorączki zwane powszechnie kataralnemi.

Objawy ogólne, występujące przy zakażeniu, pochodzą od wchłaniania przez krew szkodliwych wytworów tych grzybków.

Każdy ustrój wykazuje silną odporność przeciw zakażeniu i przeciwdziałanie. Jak się odbywa to przeciwdziałanie, dotychczas na pewno nie wiemy. Bezwątpienia do pewnego stopnia odgrywają tu rolę same tkanki ustroju, ale najmocniejszą baryerę stanowią białe ciałka krwi, gromadzące się około ognisk zapalnych, które chłoną i niszczą drobnoustroje, zmniejszając w ten sposób ich siłę chorobotwórczą.

Poszukiwania Pasteura wykazały, że chorobowe własności zarazków można osłabić przez podniesienie ciepłoty, przez suszenie ich w ciągu pewnego czasu, przez dodanie różnych odczynków chemicznych do hodowli bakteryi, lub przez przeszczepienie zarazka, wziętego z jednego zwierzęcia na drugie. Zwracamy uwagę, że te ostatnie przeszczepienia tworzą czasami produkt słabszy a czasami mocniejszy, np. bakterye róży świń przeszczepione na królika słabną tak, że zaszczepione napowrót świni, posiadają w niej zamiast śmiertelnej choroby, tylko przejściową, podczas gdy przeszczepione z krwi gołębia stają się jeszcze bardziej jadowitemi.



STARZY ZNAJOMI.

Po zaszczepieniu tak osłabionego zarazka, następuje zapalenie miejscowe z nieznacznym odczynem ogólnym w postaci gorączki, a ustrój staje się odpornym nietylko przeciwko powtórnemu

zaszczepieniu zarazka osłabionego, ale i przeciwko samej zarazie, jak to widzimy z doświadczenia na ochronnem szczepieniu ospy, któremu ludzkość zawdzięcza tyle dobrodziejstw.

Pracując nad szukaniem środków dla osłabienia zarazków, Pasteur odkrył środek ochronny zwierząt od zarazy wąglikowej czyli karbunkułu, środek ochronny drobiu od tak zwanej cholery kurzej, ratunek świń od róży, a nareszcie ratowanie pokąsanych przez wściekłe zwierzęta.

Skuteczność szczepienia osłabionego zarazka wścieklizny już po pokąsaniu przez wściekłe zwierzę jest dość trudną do zrozumienia. Objaśniają to przedewszystkiem długim okresem utajonego stanu choroby, gdyż według ostatnich doświadczeń francuzkich lekarzy Nocarda i Galliera, zarazek przenika do mózgu po nerwach powoli. Jeżeli więc wcześniej robi się szczepienie ochronne, czyli jeżeli ustrój przyzwyczaja się do walczenia z zarazkiem wścieklizny, odporność występuje wcześniej, niż zarazek dojdzie do środków nerwowych. Widocznem jest z tego, że inną drogą postępuje zakażenie, a inną nabywa się odporność.

Na podstawie tego, cośmy wyżej powiedzieli, łatwo już objaśnić odporność, jakiej ustrój nabywa po przebyciu choroby zakaźnej. Składowe części ustroju, przyzwyczajone do działania zarazka, gdy nastąpi ponowne zakażenie tym zarazkiem, niszczą go, przyczem ustrój przebywa lekką tylko gorączkę, lub jakie inne zaburzenie, bez niebezpieczeństwa dla życia. Odporność ta jednak trwa tylko tak długo, dopóki w ustroju istnieją do walki przyzwyczajone elementy. Lecz gdy z biegiem czasu odnowa, nieustająca w ciągu całego życia postąpi o tyle, że elementa, przyzwyczajone do walki, zostaną zastąpione przez nowe,

odporność niknie. Jest to dowód najważniejszy konieczności rewakcynacyi po pewnym csasie, dowód, iż nie należy obawiać się szczepień ochronnych przeciw istniejącym epidemiom, jeżeli jest już wynaleziony środek osłabienia czynności grzybka chorobotwórczego.

Nareszcie musimy tu powiedzieć o rzeczy, która jest często powodem nieustannego niepokoju rodziców i krewnych, a mianowicie o dziedziczeniu gruźlicy i raka przez dzieci, pochodzących od rodziców dotkniętych temi chorobami. Dziedziczenie tych chorób nie jest rzeczą dowiedzioną przez naukę. Najczęściej przy gruźlicy odziedziczonym zostaje tylko ciało-skład rodziców, a z nim usposobienie pewnych narządów do danej choroby, gdyż zarazek znajdując odpowiednią glebę, rozwija się łatwiej tam, gdzie warunki rozwoju do tego sprzyjają; dzieci jednak nie przychodzą na świat z zarodkiem i z bakteryami już osiedlonemi w ich organiźmie.

ŻEGLUGA NA BRYLE LODU.

(Dokończenie.)

Na drugi dzień urządzono wielkie zebranie na cześć Gundebranda. Trzydziestu starców z całej gminy zgromadziło się dla powitania odszukanego przyjaciela. Zastawiono skromną, ale dostatnią ucztę z pieniędzy składanych, a po jej spożyciu przeszło sto osób zasiadło na trawniku przed plebanią, oczekując niecierpliwie, aż opowiadać zacznie.

Gundebrand zajął miejsce wzniesione obok proboszcza, przy jego nogach usadowili się Stenon i Regnilda.

Wiadomo wam dobrzy przyjaciele, że wyprawiając przed półtora rokiem Stenona do domu, przyrzekłem uroczyście powrócić na jego zaślubiny, które wkrótce nastąpić miały. W trzy tygodnie po jego odjeździe wsiadłem na statek duński »Hekla« odpływający do Rekiavik. W dwadzieścia cztery godzin po opuszczeniu portu, zerwała się szalona burza. Zaraz pierwszy gwałtowny podmuch wichru zerwał z pokładu domek kompasowy i zmiótł sternika. Pochwyciłem ster, ale nie mając igły magnesowej, nie wiedziałem, w którą stronę kierować.

Trzy doby rozhukane fale rzucały naszym statkiem, a myśmy nie wiedzieli, gdzie się znajdujemy.

Czwartego poranku zwolniała burza; około południa kruk zbłąkany i znużony usiadł na maszcie. To nam dało poznać, że nie jesteśmy zbyt oddaleni od brzegów. Uważaliśmy, w którą stronę odleci, a popłynąwszy w tym kierunku, wylądowaliśmy w miasteczku Lichtenau, tuż obok południowego przylądka Grenlandyi, noszącego nazwę Farewell.

Kapitan nie znalazłszy kompasu, umyślił wrócić do Frederikshaw, gdzie widział to narzędzie, pozostałe po rozbitym statku wielorybim. Wiedziony jakiemś przeczuciem, nie chciałem mu towarzyszyć. W kilka dni potem dowiedzieliśmy się, że statek Hekla roztrzaskał się o skały, a cała załoga zatonęła.

Nie wiedziałem co począć i jak się do was dostać. Nagle, chociaż to było w drugiej połowie Sierpnia, chwycił potężny mróz, i w ciągu jednej nocy morze zamarzło. W parę dni potem, znikła wszelka zieloność, a mróz tak się powiększył, że chleb trzeba było rąbać siekierą. Najdotkliwiej jednak dał się nam uczuć brak drzewa. Wiadomo wam, że corocznie ogromne pnie, wydarte wezbraniem rzek z łona pierwotnych lasów Ameryki południowej, zapędzają prądy morskie na brzegi Grenlandyi, Islandyi i Laponii; w tym roku zbyt wcześne zamarznięcie morza zatamowało przypływ drzewa i pozostaliśmy prawie bez opału.

Do tego nieszczęścia przyłączyło się drugie, nierównie groźniejsze. W czasie

burzy, która naszym statkiem miotała po morzu, wściekły wicher zwalił główny skład zboża i ziarno rozniósł po polach. Zagrażał nam więc gorzej może od zimna głód, gdyż pozostałe resztki żywności nie mogły wystarczyć na zimę dla dwustu mieszkańców miasteczka, a zawczesne zamarznięcie morza nie zostawiło czasu do zrobienia zapasów mięsa z psów morskich, stanowiącego najgłówniejszy pokarm Grenlandczyków w zimowej porze.

Nastała zima tak straszna, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętają. Niedźwiedzie białe i wilki, nie mogąc znaleść nigdzie pożywienia, podsuwały się wśród białego dnia pod same miasteczko, napełniając przeraźliwem wyciem powietrze.

Razem z zimnem zaczęła zastraszająco wzrastać śmiertelność; nie było dnia, żeby jedna, dwie lub trzy osoby nie umarły, tak, że za nadejściem wiosny zaledwie szósta część ludności pozostała przy życiu, a ci nieszczęśliwi wycieńczeni zimnem i głodem, raczej do widm, aniżeli do ludzi byli podobni.

Mieszkańcy przywiedzeni do rozpaczy, postanowili wyprawić do osady Julianshaw kilku z pomiędzy siebie po żywność, lecz ludzie ci zniknęli bez śladu; znać zmarzli w drodze, albo stali się łupem drapieżnych zwierząt.

W miarę kończących się zapasów, śmierć zaczęła grasować z podwójną wściekłością; wreszcie przyszło do tego, że w końcu Maja z całej ludności pozostałem sam jeden. Myśl, że Bóg utrzymał mię cudownym sposobem dotąd przy życiu, natchnęła mię odwagą i nadzieją. Postanowiłem, skoro nadejdą dnie cieplejsze i morze puści, udawać się codzień na brzegi i oczekiwać przybycia okrętu.

W opuszczonych mieszkaniach, znalazłem tu i owdzie nieco mąki z rybich kości i parę flaszek wódki. Oszczędzałem niezmiernie tej żywności, zachowując ją na drogę. Niecierpliwość jednak i obawa nie dozwoliły mi czekać na miejscu. Znalazłszy sanie, wypakowałem je wszystkiem, co posiadałem, a zaprzągłszy dwa psy, puściłem się ku Julianshaw, idąc pieszo obok sani.

Ponieważ śnieg od promieni słonecznych zchropowaciał, zwróciłem zatem sanie na gładki lód zamarzniętego morza, a uszedłszy codzień mil parę, odbywałem noclegi w namiotach pod strażą wiernych psów moich.

Trzeciej nocy rozległ się straszny ryk, pochwyciłem strzelbę i wybiegłem z namiotu. Dwa białe niedźwiedzie porwały psy moje. Wymierzyłem do jednego, lecz kula lekko go tylko zraniła. Potwór porzucił psa i rzucił się na mnie, lecz natrafiwszy słabe miejsce w lodzie, załamał się i poszedł pod krę. To mię tylko ocaliło od śmierci. Ogromna kra, na której się znajdowałem, zaczęła poruszać się z miejsca. Nagle do koła rozległy się straszne, szybko po sobie następujące huki. To lody pękały. Przerażony do najwyższego stopnia spodziewałem się lada chwilę zginąć w odmętach.

Gwałtowny prąd morski zaczął poruszać całe masy spękanych lodów; kiedy dzień zajaśniał, znajdowałem się na pełnem morzu, otoczony do koła mnóstwem kry i gór lodowych.

Nie było najmniejszej nadziei ocalenia; tem bardziej, że nie miałem więcej żywności, jak na trzy dni, jedyna nadzieja była w napotkaniu jakiego statku, ale na żeglugę było zawcześnie, gdyż morze nie oczyściło się jeszcze z lodów. Nadszedł wieczór, modliłem się gorąco, polecając duszę Bogu. Na szczęście kra moja odłączyła się od innych i płynęła swobodnie po pełnem morzu, zmniejszyła się więc obawa zgruchotania przez lody. Popychany prądem, płynąłem tak szybko, jak statek pędzony pomyślnym wiatrem. Głód i zimno dokuczały mi niezmiernie.

Zapadła ciemna noc, nie miałem najmniejszej nadziei ocalenia; możecie sobie wystawić, jaka to dla mnie okropna noc była. Kilka dni podobnej żeglugi, a prądy zapędzą mnie na morze cieplejsze, kra zmięknie, rozleci się w kawały, stopi, a ja zginę w otchłaniach morskich.

Skoro słońce wzbiło się ponad tumany mgły, zalegającej zachodnią stronę widnokręgu, spostrzegłem w odległości ląd. Radość moja zwiększyła się do najwyższego stopnia, kiedy poznałem, że to Snaefells-Jaku, jeden z najwyższych wulkanów na zachodnim brzegu naszej ukochanej wyspy. Prąd szybko pędził mię ku lądowi; ujrzałem zdala wybrzeża Grunany — Bóg mię ocalił!...

Gundebrand zamilkł, kapłan ukląkł, wszyscy poszli za jego przykładem, zasyłając do Pana Zastępów gorące modły wdzięczności za tak cudowne ocalenie ukochanego towarzysza od nieuniknionej śmierci.

KORNEL UJEJSKI.

Nie ma między czytelnikami »Światła« nikogo, ktoby nie znał wspaniałej pieśni, zaczynającej się od słów: »Z dymem pożarów«. Pieśń tę ułożył Kornel Ujejski, jeden z największych poetów polskich, zmarły 20-go Września b. r. Choćby w całem życiu nic więcej nie był napisał, jak ten hymn wielki, jużby imię jego przetrwało wszystkie wieki, przeznaczone jeszcze przez Boga narodowi polskiemu do przeżycia i przebojowania. Lecz zmarły wieszcz napisał wiele innych pięknych poezyi, chociaż już nic wspanialszego nad ową pieśń, która jak była utworem wielkiego talentu i wielkiego serca, tak też przyrosła narodowi całemu do serca, stawszy się drogą dla wszystkich uświadomionych Polaków.

Kornel Ujejski narodził się w roku 1823 w Beremianach w dawniejszym powiecie Czartkowskim z ojca Erazma i matki Ludwiki z rodu Wolańskich. Już jako ośmioletnie pacholę pisał wiersze; w szesnastym roku życia drukował pierwsze swoje utwory, a w dwudziestym wydał książkę pod tytułem: »Stance do mojej matki«, w której prześlicznie opiewa wpływ matki na swoje wychowanie i wykształcenie. Pełen wdzięczności woła:

Bo jeśli kiedy w nim dusza zagrała
Dla cnoty, — jeśli myśl powstała wielka,
To tobie winien, boś ty rodzicielka
Tę iskrę w jego sercu rozdmuchała.

Szkoły gimnazyalne odbywał Ujejski w mieście Buczaczu, a na uniwersytet chodził we Lwowie, kształcąc rozum i serce. Były to owe czasy, w których najwięksi poeci polscy najpiękniejsze utwory swoje napisali i wydali. Młodzież polska czytywała je chciwie a młody Kornel przejął się niemi całą duszą. Stanowiły one dla niego równocześnie zachętę do uprawiania własnego talentu poetyckiego, jaki od Boga otrzymał.

W r. 1844 zwiedził poeta Warszawę, gdzie smutkiem się napełnił z powodu ucisku współbraci. I w Galicyi nie było wówczas wiele lżej Polakom; nie mieli wolności i musieli się kryć ze wszystkiem, co polskie. To wszystko napełniało duszę Kornela wielkim żalem. Objawił on się też w jego utworach, wydanych w tych czasach, najbardziej i najpotężniej w poezyach pod tytułem: »Skargi Jeremiego«. Do tych skarg należy chorał: »Z dymem pożarów«, który stał się hymnem narodowym, »rozległszy się jak uroczysty, błagalny, przeciągły głos dzwonu i we wszystkich sercach polskich odezwał się echem«.

W roku 1847 udał się Ujejski do Francyi, gdzie żyli jeszcze dwaj najwięksi poeci polscy, Mickiewicz i Słowacki. Ze Słowackim zaprzyjaźnił się bardzo. O nim napisał ten wieszcz w prześlicznym wierszu:

»Ojczyzna twoja święta kochanka
Chodzi po łąkach Pani słoneczna,
Ty chodzisz za nią jak duch baranka
I wołasz: Wieczna!...

Gdy polski owies, jak srebro dźwięczy,
Gdy szumi lipa, szeleści kłos,
Słyszy Marya pod mostem tęczy
Baranka głos...

Tak też pojmował Ujejski swoje posłannictwo: nie pisanie dla pisania, lecz na to, aby budzić ducha narodowego, rozgrzewać do miłości ojczyzny.

W roku 1848, gdy po całej Europie powiał duch wolności, napisał Ujejski nową pieśń p. t.: »Krzyż a miecz«, którą niektórzy co do potęgi słowa ponad chorał (Z dymem pożarów) przenoszą.

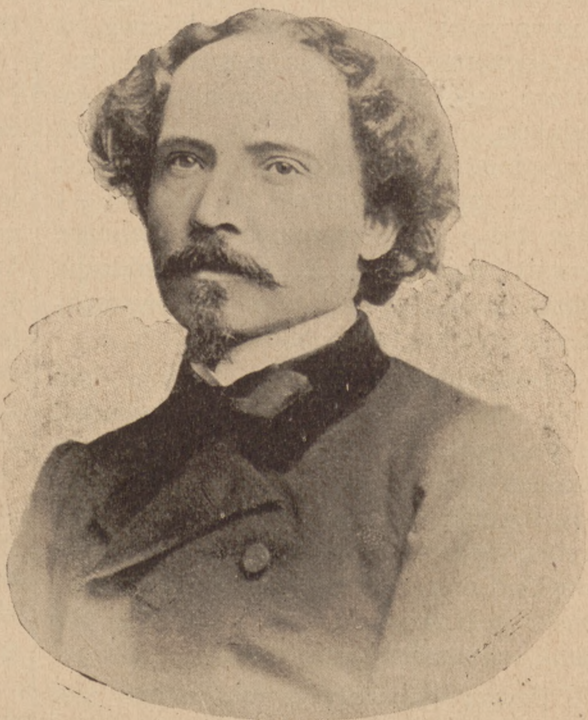
W tym samym roku ożenił się i wziął w dzierżawę majątek Zubrze. Gospodarząc na roli, nie zapomniał o poezyi. W tym czasie napisał: »Kwiaty bez woni«; »Zwiędłe liście«; »Melodye biblijne« i »Zawiana chata«. Ta ostatnia ma szczególną ważność, bo w niej Ujejski złożył świadectwo wielkiej miłości dla ludu polskiego i wskazał, że przyszłość narodu polskiego od ludu zawisła.

Odtąd struna miłości dla ludu coraz częściej się odzywa w jego poezyach. Słychać ją w »Pogrzebie Kościuszki«, w wierszach p. t. »Za służbę«, szczególnie zaś w »Błoniach medyckich«, gdzie poeta całą nadzieję przyszłości pokłada w ludzie.

Później przeprowadził się Ujejski z Zubrzy do Pawłowa pod Radziechowem i tam przeżył do śmierci, uprawiając rolę i ogłaszając w tym czasie płody swego wielkiego ducha i serca. W dniu 18-go Października 1893 roku, gdy obchodził 70-letnią rocznicę, uprosili go rodacy, że przybył do Lwowa, gdzie go uczczono wspaniale. Wtedy też przemówił jeszcze raz do społeczeństwa gorącymi wyrazami wiary, nadziei i miłości.

Poezye Ujejskiego, a mianowicie »Księgi Jeremiego«, tak pisze L. Dębicki, pozostaną drogim klejnotem w skarbcu narodowych pamiątek, w wieku niewoli i niedoli. Duch poety dojrzały wśród samotności i ciszy jak się wyrywał do Boga modłą i skargą, tak składa dziś te modły i skargi narodowych nieszczęść przed tronem Wszechmocnego, którego wiernym wyznawcą był przez całe życie.

Gdy bóle rodzinne aż do dna wypieśnię,
A ciało pielgrzymką stargane boleśnie
Do ciszy trumiennej się skłoni;
Jak dzisiaj, tak kiedyś w mej śmierci godzinie
Niech zleci pacholę, niech łąką mgła płynie
Kościołek na pacierz niech dzwoni.
Ostatni błysk oka za słońcem wyprawię
Ostatnią łzę stoczę ku ziemi
Konając raz jeszcze kraj pobłogosławię
I usty wyjąkam blademi
Anioł Pański!



KORNEL UJEJSKI.

Miłość swoję do ludu stwierdził poeta także i przez to, że wyraźnie rozporządził, aby go nie chowano w marmurowym grobowcu, lecz złożono między ludem w ziemi wioskowego cmentarza. Tak się też stało. Leży tam ciało tego szlachetnego rycerza-poety, a duch oręduje, jak tuszyć sobie chcemy, przed tronem Boga, za swoim narodem.

Ze świata legend i baśni.

(Ciąg dalszy.)

Podobnie jak w religii chrześciańsko-katolickiej, gdzie wielu świętym dodane zostały różne przedmioty, myśl symboliczną oznaczające, że tu wspomnimy św. Jana Ewangelistę z orłem, św. Jerzego z koniem, św. Szymona z piłą itd. — świat pieśni i wyobrażeń ludowych używał od wieków tego rodzaju znamion dla figurycznego uplastycznienia tych lub owych religijnych pojęć. Każde bóstwo miało swój symbol właściwy, a że pierwotne znaczenia pogańskich bożyszcz uosobiały zwykle jednę myśl zasadniczą, z różnemi tylko odcieniami, względnie do warunków miejscowej przyrody i cywilizacyjnych stósunków — więc też i owe znamiona symboliczne bywały najczęściej jednakiego rodzaju. Obraz konia, wołu i tura najpowszechniej służył ku temu celowi.

Bóstwom słonecznym zwykle koń biały, jasnogrzywy bywał za symbol przydany, to też widzimy w poezyi i podaniach ludu jak słońce, miesiąc i gwiazdy harcują po przestworze niebios na srebrzystym rumaku. Mamy tego jasny przykład w starożytnej wielkoruskiej opowieści o babie Jadze, znaczącej toż samo, co nasza jędza, czarownica.

Pewna dziewczyna, ubożuchna sierota, mówi podanie, poszła po ogień do Jagi czarownicy. Idzie ona idzie, długo idzie i drży nieboga, a przed nią pędzi biały jeździec, biało odziany i na białym koniu. Zaczęło się rozwidniać... Idzie dalej dziewczyna, aż tu jedzie jeździec jasny, na jasnym koniu i jasno odziany. Zaczęło dnieć. Idzie znów cały dzień, tuża jedzie jeździec czarny, na czarnym koniu i czarno ubrany... Przyszła wreszcie sierota do baby Jagi, mieszkającej w maleńkiej chatce, co na kurzych nogach stała daleko w czarnym lesie, przyszła i spytała jej:

— Powiedzcie mi babuniu, kto jest ów biały jeździec na białym koniu i biało odziany, co go spotkałam na drodze?

— Biały jeździec na białym koniu i biało odziany, to dzień jasny — odpowie Jaga.

— Powiedzcie mi babunieczko, kto jest ów jasny jeździec jasno odziany, na jasnym koniu?

— Jasny jeździec, na jasnym koniu i jasno odziany, to słońce jasne.

— Powiedzcie mi wreszcie, kto jest czarny jeździec, czarno ubrany i na czarnym koniu?

— Czarny jeździec, czarno ubrany i na czarnym koniu, to noc ciemna — odparła czarownica.

Podobne pieśni znajdujemy na dalekim wschodzie nad brzegami Gangesu, mianowicie w odwiecznych księgach Wedy, gdzie bóstwo słońce zowie się biegunem bystronogim, którego symbolem jest arvan, koń jasnogrzywy. W podaniach skandynawskich Baftrudnir zapytuje Odyna, boga nieba:

— Jak nazywają źrebca, który rodzajowi ludzkiemu dzień jasny przynosi?

— Nazywają go świetnogrzywym — odpowiada Odyn — on przynosi z sobą dzień jasny rodzajowi ludzkiemu i uważa się za najlepszego konia w świecie, grzywa jego nieustannie iskrzy.

Mówią również pieśni o koniu, który przynosi dzień swym szczęśliwym władcom, a który z wędzideł pryska pianą, spadającą na ziemię o rannej porze w postaci rosy srebrzystej.

Pomijając niezliczoną liczbę tego rodzaju przykładów znajdujących się w mitologii greckiej i rzymskiej, żyjących po dziś dzień w ludowych podadaniach niemieckich i każdego innego narodu, zwracamy jeszcze uwagę łaskawego czytelnika na parę przykładów, które nas bliżej obchodzą. I tak słowackie podanie, znane pod nazwiskiem Slucovi kuon, prawi:

— Bardzo temu dawno, bo już nikt nie pamięta, żył pewien król, który kazał oprowadzać po swoim kraju, po

wszystkiej ziemi od końca do końca, jasne konie słoneczka. Tam gdzie wiedli owe konie, była jasność prześlicznego dnia... zkąd zaś konie jasne odeszły, zaraz ciemny zmrok nastawał...

Na Rusi znowu w czasie święta Koljady, przypadającego w Grudniu, ludowa pieśń śpiewa:

Jechała Koljada
W malowanym wózku
Na wronym koniku....

Tu już koń kary odpowiada czarnym, czarnogrzywym koniom podań skandynawskich i czarnym jeźdźcom z podania o babie-jadze. Litewskie zaś pieśni ludowe śpiewając o Perkunie, bogu słońca, mówią również o bożych jego koniach, na których jeżdżą niekiedy boże dzieci. Oto przykład tego rodzaju w polskiem tłómaczeniu podany:

Gdzie się podziały boże konie?
Boże syny na nich pojechały.
Gdzie boże syny pojechały?
Oj! pojechały szukać córki słońca...

Powyższe przykłady wytłómaczą czytelnikowi dostatecznie znaczenie konia w mitologii słowiańskiej i innych ludów pogaństwa, jak również jego stanowisko przetrwałe do naszych czasów w nieprzebranej liczbie podań i pieśni żyjących od niepamiętnych wieków w pośród zaciszy wioskowej. Poprzestając też na owych dowodach, dodajemy do słonecznego cyklu pojęć, że częstokroć pogańskie bogi słońca, że wspomnimy Buddę, Donara, Thora, Perkuna i t. d. miały jako znamię przydanego wołu, który nierzadko wyobrażenie samego bóstwa zastępował. Mitologiczne znowu pojęcie słońca bóstwa, u starożytnych ludów celtyckiego plemienia, zwane Hu, używało symbolu w postaci tura wyobrażonego, a który odpowiadał białemu koniowi unoszącemu naszego Światowida na pole walki z ciemnemi zastępami nocy i zniszczenia.

Jak słońce, księżyc, gwiazdy w legendach i pieśniach ludowych ważną odgrywają rolę, tak też i ziemia, ogień, woda. Pieśni i podania ludu przyznają ziemi przymiot świętości, uważają ją zarazem jako matkę ludzi, opiekującą się i żywiącą wszystko, co tylko na niej wyrosło. Ziemia ze swego łona wydaje wszelakie pokarmy, służące człowiekowi na pożytek, pamięta aby ród ludzki nie cierpiał głodu i niedostatku, umie ona oceniać zasługi człowieka, w miarę których obdarza go większym lub mniejszym urodzajem, jest zatem mądrą, przychylną, przyjacielską jak słońce samo, jako inne bogi.

To też tak pogański człowiek jak i nasz lud nazywa ją matką rodzoną, czci jako uosobione dobro. Wprawdzie cześć ziemi pogańska dzisiaj ustała, zawsze jednak lud zowie ją »świętą ziemią«, a pieśń i podanie jego święte dla niej znamiona przyznają. Lud mówi dzisiaj w gniewie: »bodaj cię święta ziemia nie przyjęła do siebie« — ale bo też ona posiada jeszcze dzisiaj tę władzę, jak zapewnia podanie, że może nie przyjąć do swego łona zmarłego w wielkich grzechach człowieka. Ileż to przykładów tego rodzaju zdarzyło się na świecie... strach nawet uczciwemu człowiekowi pomyśleć o nich bez grozy... każda wieś i zakątek były świadkami takich wydarzeń... Ziemia jednak nie była dawniej taką, jak ją dziś widzimy; była ona białą i przeźroczystą, dopiero grzechy rodzaju ludzkiego sprawiły, że poczerniała ze smutku i głębokiego żalu...

Starożytni Persowie oddawali ziemi cześć boską. Scytowie znowu z ponad Donu i Dniepru, według tegoż samego pisarza, nietylko że oddawali cześć boską ziemi, zwanej Apią, lecz uważali ją prócz tego za małżonkę boga-nieba, Papaeos. Śmiało więc powiedzieć można, że duch pieśni i podań ludowych zostaje w ścisłym związku z istotą pojęć mitologicznych przedhistorycznej epoki. Forma tylko owych pojęć podległa zmianie pewnej — a nazwy pierwotne rozpłynęły się niby mgły poranne, pod wpływom chrześciańskiej cywilizacyi.

Tak samo prawie jak ziemia występuje w podaniu i pieśni ludowej woda, a więc rzeki, morza i jeziora przedstawiają się tutaj jako siła produkcyjna, postaciowana niekiedy wyobrażeniom

konia. Ztąd też dochowało się wiele podań o świętej wodzie życia, odmładzającej przedmioty zastarzałe, lub też przywracającej życie umarłym istotom. Nieraz opowiada bajka o zaklętych w kamienie rycerzach, matkach, siostrach, kochanki i t. p. członkach rodziny, którym woda życie, zdobyta przez nadludzkie poświęcenie się jakiej kochającej osoby, przywraca życie.

Nie łatwa to jednak zdobycz, częstokroć śmiałek życiem własnem przypłaca ową wyprawę. Niedość bowiem że się ona znajduje daleko, za siedmiu rzekami, za siedmiu górami, a niekiedy jeszcze i za siedmiu sinemi morzami, ale pilnuje jej, jak oka w głowie, zła wiedźma, czarownica, stawiająca w drodze na każdym kroku straszne zasadzki i czychająca na życie tego, co się po wodę życia wyruszyć ośmielił. Kiedy mu się przecież powiedzie dostać do tego skarbu, wtedy opłaciło się przebyć lasy ziejące ogniem, zarośla syczące jadowitemi gadami, wężami i żmijami; — skutek okaże się wskrzeszeniem ukochanej istoty... Cała Polska, cała Słowiańszczyzna posiada takie miejsca, kędy woda życia płynie, nie każdemu są one tylko znajome — a chociaż bajka coś nadmieni o górze sobótce na Ślązku lub łysej albo babiej górze, na której byś mógł dostać świętego talizmanu, to nie opłaci się pewno chodzić tam daremnie... Takim ludziom jak my, nie znaleść wody życia.

Gdyby nam przyszło wytykać linie, zaznaczające ślady po czci wody, okazałoby się, że cała powierzehnia ziemi, zostałaby okrytą jedną, nieskończoną siecią. Do którejkolwiek bowiem zajrzeć mitologii, któregolwiek narodu rozważyć podania i pieśni ludowe — wszędzie cześć wody widnieje, wszędzie woda posiada znaczenie siły twórczej. Uważa się ona nawet za matkę słońca — więc za starszą nierównie, o czem wiele podań i pieśni ludowych zaświadcza...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

* **Przemytniczy orszak pogrzebowy.** Wśród płaczu i narzekań uczestników posuwał się orszak pogrzebowy z granicznego miasta belgijskiego ku granicy francuskiej, gdyż nieboszczyk na łożu śmierci miał wyrazić gorące życzenie, aby go pochowano na ziemi francuskiej. Atoli na granicy Francyi urzędnicy celni pilnie się temu orszakowi przypatrywali a spostrzegłszy, że kilku z orszaku żałobnego dało drapaka, zażądali otworzenia trumny. Gdy wieko zalutowane odbito, spostrzeżono w trumnie zamiast opłakiwanego nieboszczyka najkosztowniejsze brukselskie koronki, które zaraz zabrano, a pozostałych przemytników aresztowano.

* **Porwanie dziecka.** W miejscowości Cara dei Tirreni, między Neapolem a Salernem, uroczej miejscowości kąpielowej morskiej, bardzo uczęszczanej w lecie, bawiła przez lato rodzina inżyniera angielskiego, Hastingsa Joung, złożona z ojca, matki i czworga dzieci. Zdarzyło się w tych dniach, że służąca, Niemka, znikła z najmłodszem 3-letniem dzieckiem, poczem zrozpaczeni rodzice otrzymali list z Neapolu, domagający się złożenia w oznaczonem miejscu 50,000 fr, inaczej dziecka nie odzyskają. Policya neapolitańska rozpoczęła energiczne poszukiwania pomiędzy t. zw. camorristami; prefekt wyznaczył nagrodę 2000 lirów za odszukanie porwanego dziecka. Po kilku dniach udało się odnaleźć dziecinę na jednem z przedmieść Neapolu i to w najlepszem zdrowiu.

FRASZKI.

* **U państwa doktorów.** Doktorowa: Mężusiu, powinieneś odpocząć trochę; wyjedźmy na wakacye do Zakopanego na jakie cztery tygodnie.

Doktor: Tak, tylko moi pacyenci...

Doktorowa: Ach, ci potrafią umrzeć bez ciebie

* **Z głuchym ekonomem.** Gość: Jest pan w domu?

Ekonom: Rzepę kopiemy.

Gość: A pani?

Ekonom: Świnie ją zjadły proszę pana.

Gość: E, głupiś wasan jak...

Ekonom: Ja też tak myślę, proszę pana, póki nie zamarznie.

* **W restauracyi.** Pan Jerzy: Panie, pan mi ubliżyłeś, żądam satysfakcyi. Staw się pan jutro ze świadkami i z parą pistoletów na Bielanach, godzina szósta rano.

Leosz: Ist gut, ale gdybym ja nie mógł przibicz zupełnie pinkt, to niech pan tymczasem sam będzie zaczynać.

* **Poprawił się.** Ty smarkaczu, mówisz, że ciocia głupia! Zaraz mi ciocię przeproś.

— Przepraszam ciocię, że ciocia głupia...

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

y

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 14-go Października 1897. Nr. 41.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste **t** (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Śląsku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Nad Bałtykiem.

Walenty Koruń od dwudziestu lat był rybakiem nad Bałtykiem, wtem właśnie miejscu, gdzie Wisła wpada do niego. Walenty nie tyle rybołówstwem się trudnił, ile przewożeniem na łodzi towarów z jednej strony rzeki na drugą. Jakkolwiek dwadzieścia lat już Walenty mieszkał w swej chatce na piasczystem wybrzeżu zbudowanej i codzień patrzył na morze, codzień z rana lub wieczorem liczył okiem przepływające i odpływające okręty, których żagle na szerokiem morzu powiewały, jak białe obłoki na lazurowym horyzoncie, to jednak rzadko wracał do domu tak zaniepokojony jak pewnego sierpniowego wieczora.

— Wiesz, — rzekł do żony, — powietrze takie parne, że nielada burza w nocy nadejdzie!...

— E! kto tam wie — odrzekła kobiecina, krając kawałek chleba dla swej córeczki Jagusi.

— Nie kto tam wie, tylko na pewno tak będzie! Mgła od portu w górę się podnosi, słońce czerwono zaszło.

Nie sprzeciwiała się więcej mężowi Walentowa, tylko około przyrządzenia wieczerzy się krzątała.

— Oj! napracowałem-że się dzisiaj, napracował! — narzekał Walenty. — Cały dzień cegły przewoziłem. Już rąk nie czuję...

— No, to siadajże na ławie i odpocznij sobie, — radziła żona.

Walenty usiadł i wziąwszy na kolana swą małą córeczkę, pieścił się z nią. Naraz od strony morza powiał wiatr ostry, zahuczał, zaszumiał i z świstem wpadł do zagrody rybaka.

— Oho! już zaczyna! — odezwał się Walenty — powiadam ci, że burza nadejdzie, jakiej nie pamiętamy.

W miejsce odpowiedzi kobieta wyjrzała przez okno na zewnątrz i dość długo w dal patrzyła.

— Masz racyę, Walenty! Morze się burzy... Wiatr z południa czarne chmury, ciężkie, zawalne wprost na Gdańsk i naszę chatę pędzi... Masz racyę, będzie burza nielada!... Matko Boska Częstochowska, chrońże nas, biedaków, od nieszczęścia...

Walenty z dzieckiem na ręku zbliżył się do okna i wyglądał razem z żoną. Czarne chmury sunęły po horyzoncie i łączyły się z wzburzonemi falami morskiemi. Wichry co chwila wzmagały się i szum ich łączył się z hukiem wód morskich i odgłosem zbliżających się gromów.

— Matko Boska Częstochowska!... — powtarzała, cofając się w głąb izby kobieta i żegnając się trwożnie, bo nagle straszna błyskawica przebiegła wśród chmur i piorun z ogłuszającym hukiem uderzył w morze. Wichry takie i gromy takie nagle objęły niebo i morze, iż zdawało się, że cały Bałtyk od brzegów do brzegów wre, huczy, miota się i ryczy.

Walentowa trwożnie przysunęła się do męża, a mała Jagusia płakać poczęła.

— Uspokój się, Jaguś!... — mówiła matka głosem strwożonym.

Wtem nagle Walenty odzywa się do niej:

— Czy słyszysz?... ktoś woła...

Walentowa zaczęła nadsłuchiwać.

Rzeczywiście wśród huku burzy i wycia wiatrów słyszeć się dawał rozpaczliwy głos dziecięcy:

— Ra...tun...ku! na po...moc!...

Głos ten to cichł, zagłuszany przez burzę, to nagle w przerwach między gromami brzmiał tak boleśnie, że słuchając, serce krajało się z żalu.

Nagle Walenty zerwał się, Jagusię oddał żonie, a sam szybko począł kłaść

na siebie starą kapotę, a później zapalać małą latarkę.

— A ty dokąd?... Matko Boska! na taką burzę!...

— Bądź spokojna... wrócę... nieszczęśliwego ratować trzeba... Silnym jestem, łódź mam dobrą, a to pewnie dziecko pomocy wzywa, może samo w łódce podczas takiej nawałnicy.

— Walenty! co tobie w głowie!... Chcesz nas sierotami zostawić.

Walenty chciał żonie coś odpowiedzieć, ale znowu dał się słyszeć rozpaczliwy głos dziecka, wzywającego ratunku. Porwał się więc dzielny rybak i wybiegł z chaty.

— Tam dziecko jakieś pomocy wzywa, pomódz mu trzeba. Ty, żono, z Jagusią zostańcie w domu i czekajcie na mnie... Cóżbym ja był za człowiek, gdybym bliźniemu w nieszczęściu nie pomógł... — mówił, zamykając drzwi sieni.

Poszedł. Ciemność taka, że Walentowa nic przez okno nie widzi. Szum tylko i huk burzy słyszy. Wtem błyskawica rozproszyła ciemność. Kobieta ujrzała przy jej migotliwem świetle spienione bałwany morskie, ale męża nie dojrzała na wybrzeżu.

Przez całą noc stała tak biedna, strwożona, ze śpiącą Jagusią na ręku i patrzyła w ciemną dal, patrzyła napróżno, bo męża ani widać nie było, ani też wracał do domu. Kilka razy zdawało jej się, że słyszy, jak drzwi od sieni zaskrzypiały, wnet jednak przekonała się, że to tylko wiatr w nie uderzał.

Nakoniec zaświtało. Dzień wschodził. Wichry przycichły. Burza uspokoiła się i słońce weszło na niebo; wiatr resztę czarnych chmur rozpędzał.

Walentowa zaraz z Jagusią nad brzeg się udała i na morze wzrok chciwy rzuciła.

— Mamusiu, dla czego tatuś nie wraca? pytała mała Jagusia.

Matce serce ściskało się na te pytania.

Tymczasem morze szumiało, spienione było i wzburzone jeszcze, jakby po ciężkiej walce z nieprzyjacielem.

Z godzinę a nawet ze dwie, stała biedna Walentowa nad brzegiem morskim, ale męża doczekać się nie mogła. Ten i ów z sąsiadów-rybaków witał ją, lecz na zapytanie, czy jej męża nie widział, ramionami wzruszał. Biedna kobieta wracała z płaczącą Jagusią do chaty i sama łzy fartuchem co chwila z policzków ocierała. Zdawało jej się, że męża nie ujrzy więcej, że nieszczęście go jakieś spotkało, bo w przeciwnym razie wróciłby już do domu.

— O drugich myśli, a sam na tem stracić wiele może. Bóg wie, co się z nim stało? Może utonął?...

Przypuszczenie to było prawdopodobnem. Ileż to razy podczas mniej silnych burz ginęli rybacy na morzu, a nawet i na Wiśle.

Szła więc Walentowa do domu, smutna, zrozpaczona. Gdy się zbliżyła do chaty, spostrzegła, że drzwi od sieni stały otworem. Przyspieszyła kroku i weszła szybko do izby. O radości niewypowiedziana!

W izbie siedział Walenty i kapotę przemokłą na sznurze wieszał, aby wyschła.

— Ciesz się — rzekł, do ściskającej go żony, — ciesz się, bo wkrótce będziemy mieszkali w mieście.., Pan Zborski pożyczył nam pieniędzy na założenie sklepiku...

Kobieta nie wiedziała co odpowiedzieć z wielkiej radości na taką wiadomość, od dawna bowiem pragnęła mieszkać w mieście, a nie tak, jak dotychczas, na pustem wybrzeżu.

— Ten wzywający wczoraj ratunku głos dziecięcy — mówił dalej Walenty — był to głos trzynastoletniego syna pana Zborskiego, którego burza zaskoczyła w łódce, gdy nie spodziewając się burzliwego wieczoru, zapędził się dość daleko od brzegów. Światło mojej latarki ocaliło go. Inaczej, Bóg wie, coby się stało, bo w ciemności trudno trafić do brzegu. Wsiadłem w moję łódź i wkrótce dostałem się do nawpół omdlałego, z sił opadłego dziecka. Gdym je zaniósł do domu rodziców, dziękowali mi wszyscy jak bratu. Pani Zborska i pan Zborski powiedzieli, że do śmierci wdzięczni mi będą. Sklepik mi też w mieście założyć i dać na własność uradzili, alem ja na darowiznę przystać nie chciał, więc pieniędzy nam tylko pożyczą.

— Matko Boska Częstochowska! — szeptała kobieta — nigdybym się była czegoś podobnego nie spodziewała!...

— Smutno mi trochę będzie bez morza — mówił dalej Walenty — ale to nic!... rada się na to znajdzie. Co drugi dzień łodzią na Wisłę popłynę i ryby łowić będę. Co ułowię, to ty w sklepie sprzedasz i nie będziemy, jak dotąd, głodu przymierali.

Kobieta radośnie się uśmiechnęła i podała mężowi Jagusię, która już od chwil kilku rączki do ojca wyciągała.

— Mój dobry tatuś! — wołała dziecina. — Tatuś nie dał, ażeby burza i morze porwały chłopczyka.. tatuś odebrał go burzy... Jagusia bardzo tatusia kocha!...

Praktyczne rady.

— **Aksamitu** zmoczonego nie należy nigdy w stanie mokrym gładzić, lecz odczekać aż wyschnie.

— **Pranie kolorowych muślinów i perkalików.** Chcąc, aby barwne lub kolorowe desenie nie wypełzły skutkiem prania, nie można się posługiwać mydłem, ale uskutecznia się to w sposób następujący: Rozgrzewa się w miedziannym kociołku wodę rzeczną tak dalece, dopóki ręką wytrzymać można i wsypuje wtedy otręby pszenne w ilości wyrównywującej $1/_8$ części mających się prać muślinów na wagę. Potem miesza się i pozostawia zaprawę przez 5 minut na ogniu, a następie wkłada suknie lub materye i, poruszając takowe drewnianym drążkiem, doprowadza się płyn aż do zagotowania. Wtedy odstawia się kociołek od ognia, wychładza dostatecznie i przepiera kawałki muślinowe, poczem przepłókuje się we wodzie rzecznej i suszy w zwykłej temperaturze. W ten sposób otrzymuje się muśliny i perkale tak czyste, jakby w mydle wyprane, z tą korzyścią, iż kolory nie zmieniają barwy.

— **Utrwalenie worków zbożowych.** Ażeby worki zbożowe trwalszymi uczynić, zalecany jest świeżo sposób następujący: Naparza się 2 funty dobrej kory dębowej w 12-stu kwartach wrzącej wody i w tym naparze zanurza się płótno, pozostawiając je tak przez 24 godziny. Następnie, wyjąwszy płótno, przepłukuje się w czystej wodzie i wysusza. Na 8 yardów płótna, liczy się 2 funty kory. Utrwalenie polega na tem, że nitki lniane, czy konopne nasiąkają garbnikiem, tak jak skóry i tym sposobem zabezpieczają się nietylko od butwienia, ale stają się również wytrzymalszemi.

Rozmaitości.

* **Ile wina wyrabiają na całym świecie.** Podług dziennika »Moniteur vinocole,« wynosiła produkcya wina w 1896 r. w poszczególnych krajach następującą ilość hektolitrów: — we Francyi 45,656,135, Korsyce 280,000, Algierze 4,050,000, Tunisie 95,000, Włoszech 21,573,000 Hiszpanii 18,830,000, Portugalii 3,280,000, Maderze 325,005, Austryi 2,500,000, Węgrzech 1,650,000, Niemczech 3,110,000 Rosyi 2,900,000, Szwajcaryi 1,500,000, Turcyi i Cyprze 3,050,000, Grecyi 2,150,000, Bułgaryi 1,360,000, Serbii 1,000,000, Rumunii 7,500,000, Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej 680,000, Meksyku 70,000, Chili 1,730,000, Argentynie 1,950,000, Brazylii 460,000, na Przylądku 90,000, w Persyi 32,000, Australii 180,000, — razem więc na całej kuli ziemskiej 1,24,651,353 hektolitrów, czyli z górą 15 milardów butelek wina.

* **Wzór samopomocy.** Sir Izaak Holden, jeden ze znaczniejszych przemysłowców angielskich, zmarł w tych dniach w swej siedzibie letniej pod Keigtley, w Yorkshire (Anglia), przeżywszy 90 lat. Będąc synem górnika, sir Izaak rozpoczął karyerę jako prosty robotnik. W godzinach wolnych od pracy kształcił się pilnie i został później nauczycielem matematyki. Powodzenie na polu przemysłu zawdzięcza nietylko żelaznej pracy, ale także wynalazkowi w dziedzinie czesania wełny, który spowodował wielki przewrót w systemie fabrykacyjnym. Jako polityk i filantrop zajmował przez długie lata wybitne stanowisko i został obdarzony przez królowę dziedzicznem szlachectwem. Jego inicyatywie zawdzięczać też należy wynalezienie zapałek.

* **Liczba Słowian w Austryi.** Austrya (bez Węgier i krajów do nich przyłączonych) liczy, podług ostatniego spisu ludności, około 23 miliony 900 tysięcy mieszkańców, pomiędzy którymi tylko 8 milionów 461 tysięcy Niemców, 1 milion Włochów i Rumunów a przeszło 14 milionów 400 tysięcy Słowian.

W Czechach zaś mieszka 5 milionów 800 tysięcy ludzi, z których są 3 miliony 650 tysięcy Czechami a 2 miliony 150 tysięcy Niemcami.

Na Morawach jest ludność do trzech czwartych części czeska a w połowie polska, to znaczy przeważnie słowiańska.

Mimo tego tak u Austryi jak w Czechach, na Morawach i na Śląsku chcą Niemcy rej wodzić i krzyczą, że dzieje im się niesprawiedliwość, gdy Słowianie domagają się równouprawnienia.



Gdzie jest drugi Chińczyk?

* **Metryka Kordeckiego.** Przy kościele w Iwanowicach, w gubernii kaliskiej, fundowanym przez Bartłomieja Gruszczyńskiego, ojca arcybiskupa gnieźnieńskiego w roku 1436, znajdują się starożytne księgi chrztu, w których pod rokiem 1603 zapisano:

„Anno quo supra (millesimo sexcentesimo tertio) die vero 16 Novembris baptisavi filium honesti Martini Kordeczki de Iwanowice atque Doroteae conjugum cui nomen imposui Clemens. Patrini Mathias filius advocati atque....

U r b a n o s O s s y a k o w,
vicarius Ivanovicensis.“

W tłómaczeniu:

„W roku powyższym (1603) dnia 16-go Listopada ochrzciłem syna ur. Marcina Kordecdeckiego z Iwanowic i Doroty, małżonków, któremu dałem imię Klemens. Chrzestnymi byli Maciej syn wójta i.... (tu rękopis uszkodzony).

U r b a n O s s y a k ó w,
wikary iwanowicki.“

Ten to Klemens Kordecki przyjął następnie imię Augustyna.

ZAGADKI.

1.

```
            .
          . . .
        . . . . .
      . . . . . . .
    . . . . . . . . .
  . . . . . . . . . . .
    . . . . . . . . .
      . . . . . . .
        . . . . .
          . . .
          . . .
          . . .
        . . . . .
      . . . . . . .
    . . . . . . . . .
  . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . .
```

Zastąpić kropki literami, aby środkowy rząd od góry do dołu utworzył imię i nazwisko nieżyjącej poetki i pisarki. Wyrazy poprzeczne:

1. Spółgłoska.
2. Rzeka w Galicyi.
3. Waga drogich kamieni.
4. Miasto w gubernii radomskiej.
5. Dawne pieśni kościelne.
6. Słynny historyk polski.
7. Autorka znakomita dawniejsza.
8. Tytuł słynnego poematu.
9. Owad.
10. Ptak.
11. Wykrzyknik.
12. Nauczyciel i wydawca podręczników naukowych do języków obcych.
13. Ptak.
14. Ryba.
15. Imię męzkie.
16. Aktor sławny nieżyjący.
17. Naród z wieków średnich.

2.

```
A 1
B   2
C     3
D       4
E         5
F           6
G             7
```

W 7-miu rzędach oznaczonych literami A, B, C, D, E, F, G, ułożyć w każdym po wyrazie 7-io zgłoskowym, w których by litery wskazane przez cyfry od 1—7 włącznie, składały nazwę pseudonymu jednej z pisarek polskich.

S y l a b y: gosz, po, Pe, da, ma, E, la, Dłu, li, A, te, Gos, kan, For, na, ca, ży, ba, Gra, pe, po, ja.

Znaczenie wyrazów: 1. Historyk polski z XV-go wieku. 2. Ptak z rodziny wioślarzy. 3. Nazwa poematu bohaterskiego. 4. Zamek obronny. 5. Utwór Mickiewicza. 6. Stan niewolniczy nad zatoką meksykańską. 7. Dom zajezdny.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.